1923 r. SIERPIEŃ № 14.

PRZEGLĄD MYŚLIWSKI I ŁOWIECTWO POLSKIE

ZJEDNOCZONY DWUTYGODNIK ŁOWIECKI

Redaktor Naczelny: Juljan Ejsmond. **Komitet Redakcyjny:** Gen. Bronisław Grąbczewski, Józef Błeszyński, Wł. Janta Połczyński i Włodzimierz Korsak.

Redakcja: Szpitalna 12. **Administracja:** Szpitalna 1. Warszawa

WARSZAWA — POZNAŃ.



Zwierzostan Pamiru.

*(Dalszy ciąg *).*

Niedźwiedzie spotykają się na Pamirze często, lecz tylko wówczas, gdy pojawia się na Pamirze coś, co służy im za pokarm.

Szerokie otwarte doliny i łagodne zbocza gór nie dając ukrycia nie sprzyjają urządzeniu legowisk, gdzie niedźwiedź mógłby spokojnie spędzić miesiące śpiączki i mnożyć się.

Są to niedźwiedzie nieduże, tybetańskie, prawie czarne, z białą piersią i pół-obrożą białą na szyi. Na ludzi nie rzucają się, przeciwnie, przy spotkaniu z człowiekiem — pierwszy ich ruch jest zawsze odwrotowy, ale raniony, albo w złości, podnosi się na tylne łapy i z wściekłością rzuca się na wroga. Kronika miejscowa podaje masę wypadków ciężkiego poranienia lub śmierci myśliwych, to też krajowcy strzelają do niedźwiedzi tylko w ostateczności. Niedźwiedzie trzymają się w skalistych częściach przeważnie Hindukusza, w dolinach Pamiru zjawia się tylko dla żeru i to pojedyńczo. Nigdy nie spotkałem matki z małemi choć samice chodzące luzem — biłem często.

Zmyślność niedźwiedzi przy zdobyciu pokarmu jest wprost bajeczna.

Byłem świadkiem tego w 1887 roku gdy robiłem topograficzne zdjęcia w okolicy jeziora Jaszyl Kula na Aliczur Pamirze. Jest to jezioro mające 35 kil. długości i około 6 kilometrów szerokości.

Czasy były ciężkie. Rosja zajęła Pamir w siedem lat później, a wtedy był on bezpański z jednej strony od czasu do czasu lustrowany przez afgańczyków, z drugiej przez oddziały wojsk chińskich. Auły miejscowych kirgizów — częścią odkoczowały do Chin, częścią do Badahszanu bojąc się wpaść w wojenną zawieruchę. Pamir zrobił się zupełną pustynią. Na setki kilometrów—nie było śladu człowieka. Moja ekspedycja przyszła z północy: korzystając z pustkowia robiłem potrzebne mi zdjęcia.

Zostawiwszy raz obóz swój w osłoniętym miejscu, na brzegu jeziora sam, z jednym kozakiem i myśliwym-kirgizem z Ałaju, wkroczyłem w szeroką błotnistą dolinę wschodniego brzegu jeziora, gdy myśliwy zatrzymał konia, wskazując w dal ręką. Na razie nic niedojrzałem. Rozejrzawszy się lornetką, najwyraźniej zobaczyłem człowieka siedzącego do nas tyłem i coś robiącego na brzegu szerokiego i wartkiego strumienia, który wpadał do jeziora. Stropiłem się, bo chciałem jaknajdłużej zachować swoje incognito, a w takich warunkach spotkać człowieka—zawsze niebezpiecznie. Pytam więc kirgiza, który bez szkieł widział lepiej niż ja przez lornetkę, co może robić tutaj człowiek sam jeden i bez konia. Towarzysz mój objaśnia, że to niedźwiedź: spuścił się z gór i w rzeczce ryby łowi.

Byłem zdumiony. Odesłaliśmy konia w tył, a sami, robiąc ogromny krąg obeszliśmy pod wiatr i popełzliśmy do niedźwiedzia, który tak był zajęty robotą, kiwał głową, mruczał i smakował, że zupełnie nie zauważył nas i podpuścił na pewny strzał (100—120 kroków).

Umieściliśmy się za odłamem skały i poczęliśmy obserwować. Misio usadowił się na brzegu strumienia, który płynąc po błotnistej łące robił częste zakręty i odłamując duże kawały błotnistego gruntu rozcierał ziemię łapami nad wirem od czego woda na parę minut robiła się zupełnie mętną. Zanurzał łapy w wodę i szybkiemi ruchami wyrzucał wodę za siebie, ciągle głośno mrucząc i kiwając głową. Razem z wodą wylatywały łososie wagi około funta i więcej i padały na łąkę za niedźwiedziem. Po kilku pracowitych minutach niedźwiedź wstawał, zjadał ryby i znowuż wracał do przerwanej pracy.

Dla zrozumienia sytuacji trzeba dodać, że była to wczesna wiosna kiedy ryba szła do rzeczułek, żeby rzucać ikrę w cieplejszej wodzie niż w jeziorze, które w znacznej części jeszcze było lodem pokryte. Szły wyjątkowo łososki około 1 f. wagi, z czerwonym mięsem, bez drobnych kości, bardzo tłuste i smaczne. Myśmy sieci nie mieli, ale o ilości ryb można sądzić z tego, że kozacy wyławiali je całemi pudami, łowiąc spodniami letniemi, w których zawiązywali nogawice. My jedliśmy je gotowane, suszone i wędzone — z jednakowym apetytem, wyrzucając głowy i ikrę, które według opowiadania krajowców są podobno trujące.

Lecz wracam do niedźwiedzia. Misio wiedział że na wiosnę ryby płyną z jeziora do rzeczek i że najlepiej je łowić w mętnej wodzie. Za taką inteligencję — darowałem mu życie; przygotowałem się jednak do strzału na wypadek ataku. Kiedy napatrzywszy się dostatecznie podnieśliśmy się zza skały, Misio ryknął na nas bardzo nieprzyjaźnie, chwilę popatrzał jakby ważąc co ma dalej robić i mrucząc powolnym kłusem oddalił się w góry widocznie bardzo oburzony z powodu przerwanej uczty.

(D. c. n.)

Gen. Bronisław Grąbczewski.

---

*) W zeszłym odcinku wydrukowano mylnie morze Azowskie zamiast Aralskiego.

Ku indyjskiej rubieży[1].

(Ciąg dalszy)

V. Noc na drzewie.

Pewnego dnia polowaliśmy znowu z Niazem i Czajanem[2]) na frankoliny[3]). Dzień był upalny, ptaki siedziały twardo i odbiegały zawzięcie, dając się z wielką trudnością wypłoszyć przez niezmordowanego psa.

Zagłębiliśmy się daleko w dżungię i popołudniu znajdowaliśmy się zapewne o jakie 15 km. od obozu. Była tam soczysta mokra łączka o zielonej jeszcze, bujnej trawie. Wtem Niaz pochylił się i zaczął pilnie badać teren. Zatrzymałem się również i spostrzegłem w miejscu, gdzie stał tadżik, jakieś tropy. Szeroki krok zwiastował zwierzę dużych rozmiarów.

Niaz posuwał się wolno i raptem zatrzymał się i dał mi znak ręką. Na błotnistym gruncie dostrzegłem odciśnięte wyraźnie duże, ostre racice o łagodnej linji.

— Barasingh! — szepnął myśliwiec — na żer tu wychodzi; duża, ładna sztuka!

Popatrzyliśmy na siebie porozumiewawczo i wiedzeni obaj jedną myślą, obejrzeliśmy się dokładnie wkoło. Łączka była nieduża, 3—4 hektary, wchodziła ostrym klinem w nieprzebyte morze trzcin, a z jednego boku dotykała do małej suchej wysepki, porosłej spaloną stepową trawą, krzakami cierni i kilkunastu rzadko rozrzuconemi drzewami topoli i gruszy.

Z chwilą, gdy w umyśle naszym powstał plan łowów na rzadkiego zwierza, wziął Niaz psa na rzemień, aby jaknajmniej dawał tropów, a i my przestaliśmy się szastać po łączce, lecz skierowaliśmy kroki wprost na suchą wysepkę.

Zrozumieliśmy doskonale wzajemne nasze myśli: korzystając z widnej, księżycowej nocy, należało czatować na przyjście zwierzyny.

Niaz proponował zasiąść w dwóch krańcach zwartej ściany trzcinowej, popierając swój projekt twierdzeniem, że wieczorny zachodni wiaterek wiać będzie od łączki i czujny zwierz nie zwęszy naszej obecności. Ale ja, obeznany z czatami w różnych krajach, byłem innego zdania. Znając nadzwyczajny poprostu węch tej szlachetnej zwierzyny i jej nieporównaną czujność, a także wiedząc, że powiew może być przychylny, ale może być też nieprzychylny, stosownie do tego, z jakiej strony zwierz nadciągnie, zwróciłem uwagę na drzewa.

Niejeden raz w czasie długiej praktyki myśliwskiej przekonałem się, że zwierz czuje człowieka tylko wówczas, gdy ten siedzi na ziemi, lub tuż ponad nią, gdy tymczasem zajęcie placówki, położonej wyżej niż 3 metry nad ziemią, zabezpiecza go najzupełniej.

Wytłumaczyłem Niazowi mój plan i oznajmiłem, że takie jest moje postanowienie.

Nielada kłopot sprawiał nam pies, choć Niaz twierdził, że będzie on leżał przy nodze tak cicho, jakby go wcale nie było, ale zabrać go z sobą na drzewo było niepodobna. Postanowionem więc zostało, że ja o zmierzchu zasiądę na drzewie, a Niaz z Czajanem odejdzie na brzeg rzeki, odległy o 4 kilometry, i tam przy ogniu noc spędzi.

Tymczasem zabrałem się do urządzenia sobie możliwie wygodnego siedzenia, pamiętając o tem, że będę musiał, być może, spędzić na niem długi szereg nocnych godzin.

Wdrapałem się więc na rozłożystą gruszę i tam na pochyłych, pod prostym kątem od pnia wyrastających konarach urządziłem niby fotel z oparciem na plecy i nogi, przy pomocy uciętych gałęzi, przywiązywanych mocnymi rzemykami, których spory zapas miał zawsze w kieszeni Niaz ze względu na swe wyplatane podeszwy. Podciąłem wokoło kilkanaście gałęzi, przeszkadzających w patrzeniu i zsunąłem się na dół, do mego współtowarzysza, który siedział tymczasem pod drzewem.

— Odejdę stąd przed zachodem, — rzekł, — a i ty zaraz wtedy leź na drzewo. Jak tylko słońce schowa się, zaraz rosa będzie, silna rosa, widzisz, jakie niebo różowe?—wskazał ręką na wschód.— Rosa ślady nasze zmyje i wtedy nawet czort nie zwącha, że tu dziś ludzie byli.

Słońce zbliżało się już ku zachodowi. Chyliło swą zmęczoną całodzienną drogą, coraz bardziej złotą głowę ku sennej ziemi, na dalekim zamglonym widnokręgu. Wiatr, chodzący szerokiemi krokami po dżungli i szumiący, jak morze, ustał zupełnie, i trzciny stały nieporuszone, odcinając swe płowe i żółte kiście od błękitu nieba.

Roje komarów, nie łaknących już widać krwi ludzkiej, tańczyły wysoko w powietrzu, zwiastując pogodę i suszę na długie jeszcze dnie, tu i ówdzie sennym głosem grały koniki polne. Spokój i cisza zapanowały nad trzcinową puszczą, zdawało się, że życie w niej zamarło.

Ale to chwila tylko, mistyczna chwila, jakby święta dla każdego żywego stworzenia, bojącego się ją naruszyć. Nadejdzie oto noc, wyruszą ze swych kryjówek całe roje istot, napełnią wrzawą nieustającą, choć dyskretną, wnętrze puszczy, —

---

[1]) Urywki z powieści, która ukaże się w r. b. nakładem Księgarni Ś-go Wojciecha w Poznaniu.

[2]) Pies Niaza, Czajan, w języku miejscowym oznacza skorpjona.

[3]) Gatunek kur południowych.

i zagada ona wszystkiemi możliwemi językami. Zadźwięczy nieraz głos tryumfu i siły, to znów krzyk strachu i śmiertelnego lęku, albo skarga jękliwa lub westchnienie tęsknoty.

A w tej nocy tajemnej, w tem życiu skrytem, a pulsującem niezmożoną siłą, mam oto wziąć czynny udział, wniknąć wszystkiemi siłami w jego tajemnice i niezbadane uroki, a może wtargnąć doń ze swą brutalną siłą i bezwzględnością. Ale siła i bezwzględność są przedewszystkiem cechą dzikiej przyrody, są podstawą bytu wszystkich istot żywych, wszechświatowem prawem natury. Dlatego to rozkosz myśliwska idzie przeważnie w parze z właściwościami zdrowej, pierwotnej natury ludzkiej, stanowi nieodłączną cechę człowieka, garnącego się do przyrody, szukającego w niej prawdy życia i łączącego swą duszę z duszą wszechświata.

Znikło słońce, utonęło w morzu trzcin i odrazu pociemniała dżungla. Niaz odszedł już przed chwilą, więc i ja wdrapałem się na drzewo i zasiadłem w przygotowanem krześle.

Widziałem dokładnie całą łączkę, a będąc na jednej wysokości z czubami czterometrowych trzcin, mogłem wzrok zapuścić daleko, na wszystkie strony. Tu i ówdzie strzelały w górę kępy drzew różnego kształtu i wysokości. Daleko na wschodnim krańcu horyzontu kłębił się i strzelał wprost w górę ledwo widzialny dym—nasze obozowisko. Przez zamglone powietrze Afganistanu nie było nic widać, natomiast od północy i wschodu wyraźnie zaznaczały się szaro-fjoletowe, gdzieniegdzie sinawe góry.

Czas płynął. Cisza była, przerywana tylko ledwo słyszalnym szmerem małych mieszkańców mego drzewa. Lecz oto zatrzeszczała gdzieś trzcina i trzaskała wciąż dalej i dalej, znacząc drogę dziczego stada, które wyruszyło o zmierzchu z legowiska ze zwykłą swą hałaśliwością. Od tej chwili błoga cisza wieczorna uleciała gdzieś bezpowrotnie, zawrzało nocne życie, zapanowując niepodzielnie nad ciemniejącą dzunglą, nad dzikim światem trzcin, cierni i pnączów.

Gdy odwróciłem znów głowę ku wschodowi, ujrzałem, jak niebo nad łańcuchem ciemnych gór pojaśniało nagle, jakby zapłonęła srebrzysta łuna, a za chwilę wyłoniła się blada twarz księżyca. Popłynęły jasne smugi światła po zielonej łączce, cień rzucany przez trzciny i drzewa zaczernił się upiornemi plamami. Kity wyniosłych trzcin zasrebrzyły się w miesięcznej poświacie, a krople rosy zamigotały jak djamenty.

Siedziałem długo bez ruchu, wpatrzony w tęskne smugi bladego światła, gdy wtem wyraźny chrzęst trzciny wtargnął realnym odgłosem w pasmo mych marzeń. Coś szło. Z suchym trzaskiem rozstępowały się trzciny, szeleściały trawy, wreszcie dostrzegłem, jak zachybotały się mocno smukłe kity i z rozchylonej gęstwiny wprost naprzeciwko mnie wychynął na łączkę olbrzymi czarny potwór. Mocnemi, krótkiemi ruchami nizkich lecz silnych nóg unosił zwierz z łatwością potworne swe spłaszczone z boków cielsko, jakby stworzone do przebijania nakształt klina nieprzebytych gąszczy trzcinowych. Zjeżona na karku szczecina nadawała zły, djabelski wygląd imponującej postaci, błyskającej u pyska śnieżnemi kłami.

Mimowoli zacisnęła się ręka na leżącej w pogotowiu strzelbie, ale rozsądek zwyciężył, nakazując powstrzymać się od strzału do dzika, wobec możliwości nadejścia rzadszej i szlachetniejszej zwierzyny.

Chlupocąc po wodzie błotnistej łączki, zbliżył się zwierz ku wysepce, zahuczała ziemia pod potężnym ciężarem, odyniec przebiegł tuż pod mojem drzewem i znikł w trzcinach po przeciwnej stronie.

Długo jeszcze słyszałem oddalający się trzask. Zwierz poszedł w stronę rzeki.

Cieszyła mię ta okoliczność, że dzik, obdarzony węchem nader czułym, nie poczuł nic podejrzanego, przebiegając tuż przy miejscu, gdzie siedzieliśmy z wieczora, widać rację miał Niaz, twierdząc, że obfita rosa tropy zaleje i wszelki zapach zniweczy..

I znów nastała względna cisza. Godziny płynęły wolno. Północ minęła, a księżyc wzbił się wzwyż, zalewając całą ziemię powodzią zwodnej swej jasności i potęgując jeszcze kontrasty światło-cieni.

I oto raptem oko me, błądzące wytrwale po całej okolicy, natrafiło w odległym skraju łączki na jakąś ciemną sylwetę, której tam wprzód nie było...

Przetarłem oczy. Najwyraźniej coś tam czerniało w odległości półtorasta kroków i zdawało mi się nawet, że widzę ruch jakiś. Ale co to być mogło? Co za stworzenie szło tak cicho, że trzciny go nie zdradziły? Nie słyszałem w tej stronie najmniejszego szelestu—i oto raptem, jakby duch jakiś, zjawiła się ta tajemnicza, wyniosła postać!

Przywołałem na pomoc lornetę i dzielne szkła, dostosowane do nocnej pory, ukazały mi ładnego jelenia, skubiącego spokojnie trawę. Wdzięczne ruchy głowy, zdobnej w niewielkie rogi, uzupełniły jeszcze ogólną piękność kształtów, i z przyjemnością śledziłem zachowanie się ślicznego zwierzęcia.

Pilnie nastawione uszy zdradzały czujność napiętą do najwyższego stopnia i badały wszystkie szmery nocne, a w powolnych, jakby niedbałych ruchach czuć jednak było napięcie muskułów, gotowych w każdej chwili do skoku.

Ale meta była za wielka, abym ryzykował niepewny strzał, tembardziej, że chociaż noc zdawała się widna, jednak muszki w wizjerze ułowić dobrze nie mogłem. Czekałem więc dalej, przykładając od czasu do czasu lornetę do oczu i napawając wzrok pięknem zjawiskiem.

Zwierz, skubiąc trawę, posuwał się bardzo wolno wzdłuż brzegu trzcin, zbliżając się na ukos. Godzina za godziną upływały, księżyc nachylił się już ku zachodowi i zawisnął w pół nieba. Raptem lekki szmer trzciny dobiegł mych uszu, i w tej samej chwili jeleń kilku susami odsadził się od grożącej napaścią gęstwiny i stanął, wy-

prostowany jak posąg, na środku łączki, o trzydzieści kroków odemnie.

Z głową dumnie zwróconą w podejrzaną stronę, stał przez chwilę nieruchomo, podczas gdy ja starałem się napróżno uspokoić bijące mocno serce i drżące ze wzruszenia ręce.

Lecz oto zwierz pochylił znów głowę ku ziemi. Przeczekałem jeszcze chwilę, czerwona fala krwi gorącej odpływała zwolna z piersi, oparłem strzelbę o pień drzewa, wycelowałem jak mogłem najdokładniej i pociągnąłem za cyngiel.

Jak głuchy grzmot potoczył się po trzcinach suchy huk bezdymnego strzału, zachlupotało coś gwałtownie i usłyszałem susy uciekającego zwierzęcia, a gdy się rozwiał ledwo dostrzegalny dymek, nie było już nic na siwo - zroszonej łączce.

Ale nie spodziewałem się ulokować kulę bez pomocy wizjera tak, aby powaliła silnego zwierza na miejscu, byłem jednak najmocniej przekonany, że trafiłem przy tak bliskiej mecie.

Zeskoczyłem z drzewa, aby wyprostować obolałe od długiego siedzenia członki, ale wiedząc, że niepodobna tropić skutecznie w nocy, siadłem na trawie pod drzewem, mając zamiar doczekać świtu.

Lecz po godzinie usłyszałem od strony rzeki szelest trzcin, a po chwili coś niewielkiego zaczerniło się w trawie i, merdając radośnie ogonem, przyskoczył do mnie Czajan, poprzedzający przybycie swego pana.

W krótkich słowach opowiedziałem Niazowi przygodę, a tadżik w milczeniu skierował się na miejsce strzału. Poszedłem i ja. Na zroszonej obficie trawie znać było wyraźnie miejsce, gdzie stał jeleń i widać było jego ostry ślad.

Tymczasem Czajan obwąchał dokładnie teren, w milczeniu rzucił się na trop i raptem zginął w trzcinie.

— Trafiony! — rzekł Niaz — bez głosu pies poszedł, znajdzie!

Nie upłynęło pięciu minut, gdy gdzieś z głębi dżungli nadleciało krótkie, chrapliwe ujadanie. powtarzające się w równych odstępach czasu.

— Jest! Idziemy, a to jeszcze szejr [1] na głos psa przyjdzie i jelenia popsuje.

Ruszyliśmy więc. Niaz szedł przodem, posługując się z zadziwiającą zręcznością krótkim afgańskim mie zem, którym rozcinał pnącze i gałęzie.

Ciernista to była zaiste droga, w przenośnem i dosłownem tego słowa znaczeniu.

Urywane szczekanie wskazywało wciąż kierunek, ale przestrzeń, na którą pies zużył pięć minut, przebyliśmy dopiero w pół godziny.

Nareszcie dotarliśmy do upragnionego celu i ujrzałem ogromnego jelenia, rozciągniętego bez życia.

Odrazu rzuciła mi się w oczy barwa zwierzęcia, ciemno-szara w gęste jasne plamki, rozrzucone po całym grzbiecie i bokach. Rogi niewielkie, ale ładne i zupełnie już wytarte, miały po trzy odnogi i dochodziły mniej więcej 50 cm. długości. Wielkością dorównywał naszemu jeleniowi czerwonemu, ale mniejszy był od karpackiego i kaukazkiego, czyli wielkich jeleni z rodzaju marali. Był to najprawdziwszy jeleń bucharski, odkryty dopiero kilka lat temu i znajdujący się w bardzo nielicznych egzemplarzach jedynie w głównych muzeach świata.

Pod ostremi cięciami Niazowego miecza oczyściła się spora przestrzeń gruntu i za chwilę obok cennego łupu buchnął wesoły ogień z suchej trzciny, a dzielny tadżik zabrał się bez zwłoki do oprawiania i zdejmowania pięknej skóry.

W półtorej godziny później, w blaskach cudownego poranku szliśmy, przez dżunglę ku obozowisku, obładowani mięsem, skórą i czaszką z rogami, a Czajan z odętym z przejedzenia brzuchem wlókł się z tyłu, zamykając tryumfalny pochód.

Włodzimierz Korsak.

(C. d. n.)

---

[1]) Miejscowa nazwa tygrysa.

Święci myśliwi.

(Dokończenie).

Również i dość liczne dramatyczne opracowania przenikają do Polski, a zapewne oparto je na wzorach obcych misterjów. Mamy więc już z r. 1616 zachowane „Summarium tragediae Eustachianae“, grane w Wilnie przez młodzież akademicką dla uczczenia biskupa wileńskiego, Eustachego Wołowicza, a zawierające w 6 scenie I-go aktu cudowną przygodę z jeleniem. Zaś w r. 1766 znów „in theatro Culmensis academiae“. Jan Gaworski przedstawiał tragedję o Eustachym pod szumnym tytułem: „Constans in adversis pro Christo patientia in persona Placidi, sive Eustachii sub Trajano imperatore Romano, militum magistri probata“. Scena trzecia pierwszego aktu przedstawia motyw legendy. Historja św. Eustachego musiała być często grywana, bo i w rękopisach można na nią nieraz natrafić, jak np. w manuskrypcie l. 573 Bibl. Ossolińskich, który wśród przeróżnych Collectaneów Kuropatnickiego zawiera też tragedję o Eustachjuszu, rzymskim hetmanie

Mimo, że w literaturze św. Eustachy tak wielkiem cieszył się zajęciem, patronem łowów staje się w Polsce z czasem tylko św. Hubert *).

Cześć patronów myślistwa dawnych musi sięgać czasów, bo już Gallus wśród dostojników dworskich przytacza też łowczego (venator), a łowy od rządów Bolesława Krzywoustego były główną szlachty polskiej rozrywką.

Wyobrażenia takiego jelenia z krzyżem między rogami trafiają się również na wykopywanych brakteatach. Np. na brakteatach, wykopanych w Wieleniu, w Wielkopolsce, pow. czarnkowskim. W pracy K. Beyera p. t.: „Wykopalisko wieleńskie“ (Warszawa 1876) znajdujemy pod № 176 brakteat z rogami jeleniemi, wychodzącemi z krzyża, pod № 178—9 zaś podobny motyw, a mianowicie głowę jelenia z gwiazdą między rogami.

Musiały też krążyć rozmaite u nas legendy, których ślady przechowały się do dziś jedynie w dawnych herbach. Piekosiński w swej Heraldyce opisuje herb „Jeleń Niałko“ i „Jeleńczyk“ na podstawie dawnych zapisek, że miał to być jeleń z krzyżem między rogami, w innych notatkach miejsce krzyża zastępuje miecz; bardzo możliwe jednak, że z czasem przekształcił się herb tak jedynie z powodu niezrozumienia dawnego symbolu **).

Baliński w dziele „Stara Polska“ pisze o Władysławie Odoniczu, rycerzu z XIII wieku, który polując w puszczy, gdzie dziś miasto Wieluń, zabija ogromnego jelenia, a zarazem spostrzega na niebie baranka z Hostją. W miejscu tem zakłada miasto, mające w swym herbie baranka z Hostją, a w rynku kamienicę z godłem jelenia, w miejscu, gdzie go zabito.

W kilka wieków później znajdujemy podobną powieść, nawiązaną do Miłocina w Rzeszowskiem. Miejscowa tradycja głosi, że kaplicę pod wezwaniem św. Huberta wybudował tu między r. 1772—5 Jerzy ks. Lubomirski, nawrócony podobnie jak św. Hubert przez zjawienie się jelenia z krzyżem między rogami.

Wogóle ziemiaństwo nasze nie zapominało o św. Hubercie i nieraz legendę o nim kazało odtwarzać w swych pałacach. Tak np. Tomasz Zamoyski w kaplicy pałacowej w Jabłonnie polecił wśród witraży uwzględnić też św. Huberta.

A że podobne legendy w Polsce krążyły, na to dowody mamy i w dzisiejszym folklorze. W powiecie przasnyskim, we wsi Czernice Borowe, znajduje się kościół, zbudowany przez Jakóba Pocztę, kasztelana ciechanowskiego w roku 1398, a w nim, przed jednym z bocznych ołtarzy, zawieszono rogi jelenie, używane dziś jako pająk do osadzania świec. Legenda twierdzi, że fundator kościoła, polując na tej górze, na której dziś stoi kościół, zabił jelonka z krzyżem między rogami, a uważając to za objawienie Boże, na pamiątkę wypadku wybudował kościół na tem miejscu.

Na środku kościoła farnego w Kazimierzu Dolnym nad Wisłą wisi świecznik w kształcie głowy jeleniej z rogami. Tradycja miejscowa wiąże istnienie świecznika z imieniem króla Kazimierza W. i twierdzi, że ów świecznik zawieszono na pamiątkę pomyślnych łowów na jelenie, odbytych przez tego monarchę w okolicznych lasach.

Wogóle zaś głowy jelenie drewniane, ozdobione pięknemi rogami i urządzone jak pająki, spotyka się w licznych luterańskich kościołach polskich w Prusiech Wschodnich, np. w Królewcu, Margrabowej, Rastemborku i in.

Również w Wąwolnicy, w Lubelskiem, rogi jelenie zdobią środek balustrady chóru. Pomiędzy rogami umieszczono krzyżyk benedyktyński, a do rogów tych nawiązano legendę o świętym patronie łowów.

W Sochocinie. w pow. płońskim, w r. 1866 była jeszcze chrzcielnica drewniana w postaci jelenia, nad którą na ścianie napisano słowa z XLI psalmu Dawida: „Quam admodum desiderat cervus ad fontem aquarum, ita desiderat anima mea ad te, Deus“. (Jako pragnie jeleń do źródeł wodnych, tak pragnie dusza moja, do Ciebie, Panie.)

Możliwe też, że legenda, którą opowiada nam Żeromski we wstępie „Popiołów“, opiera się na autentycznem ludowem opowiadaniu.

Myśliwi nasi czczą św. Huberta i jemu się polecają przed każdem polowaniem, jak to zaznaczył już swego czasu Mickiewicz w „Panu Tadeuszu“:

„Do księdza plebana
Dać znać—dodał pan Sędzia—żeby jutro zrana
Mszę miał w kaplicy leśnej: króciuchna oferta
Za myśliwych, msza zwykła świętego Huberta.“

Taką też mszę św. Huberta przedstawił rysunkiem Juljusz Kossak, ilustrując „Listopad“ w „Roku myśliwca“ Wincentego Pola, który jako doskonały znawca naszej staroszlacheckiej tradycji, wiele ciekawych podaje zwyczajów, związanych z dniem św. Huberta (3 listopada) i przysłów, jak np.:

Kiedy swego czasu
Goły las nastaje,
Święty Hubert z lasu
Cały obiad daje.

A i Weyssenhoff w cyklu myśliwskim „Soból i panna“ zna św. Huberta, patrona myśliwych, podobnie, jak znał go dobrze i wspominał nieraz inny głęboki znawca lasu i jego mieszkańców, Adolf Dygasiński.

Rzecz ciekawa, że choć czas tak wiele zmienił i tak nas zracjonalizował, to jednak dziś jeszcze, gdy staniemy ze strzelbą w ręku na stanowisku, mimowoli wzdychamy do onego świętego patrona myśliwych. Dlaczego?

Bo jak przed wiekami, szumi bór tajemnie i dziwnym szeptem oddycha cała leśna pnszcza.

Dr. Adam Fischer.

*) Dawniej musiano też czcić św. Eustachego. Na Podhalu n. p. istnieje przesąd, że w dzień św. Eustachego tylko kłusownik może ubić zwierzynę.

**) Również miasto Wirszyce ma za swój herb jelenia, biegnącego w lewo z krzyżem.

Polowanie na lisy.

Chytry zwierz zmusił chytrzejszego od siebie człowieka do wyszukiwania różnych sposobów polowania.

U nas, w b. Kongresówce, poniżej opisany sposób, na kilka lat przed wojną zaczął być aktualnym w większych tylko własnościach i to tylko tam, gdzie lis miał zdecydowanego przeciwnika i specjalistę interesującego się postępem i rozwojem kunsztu łowieckiego.

Przeważnie polowano i poluje się u nas na lisy przygodnie, traktując tę zwierzynę, jako miły dodatek i ozdobę wieczorowego rozkładu, — specjalistów, amatorów lisiego polowania dotąd nie spotkałem.

Wielkie obszary Rosji, brak drobnej i trudności upolowania grubszej zwierzyny—wszystkie te okoliczności wytworzyły tam oddzielny kunszt dla polowania na wilki i lisy.

W danym wypadku piszę o lisach, jako o zwierzynie u nas pospolitej, jednak cały ten sposób stosuje się również i do wilków, z tą tylko różnicą, że przy wilkach muszą być zwiększone środki ostrożności, jako przy zwierzynie bardziej od lisa czujnej.

Ludzie obserwujący zwyczaje i obyczaje zwierzyny, po długich, prawdopodobnie, usiłowaniach odkrycia tajemnic natury zauważyli, że drapieżniki posiadają wielką ostrożność i podejrzliwość zaskoczone w życiu codziennem jakiemkolwiek zjawiskiem nieznanem i nowem, a w naturze się nie zdarzającem, do tego stopnia posuwają swe przewidywania i ostrożność, że same sobie stwarzają obawę przed czemś zupełnie bezpiecznem i nieszkodliwem.

Powyższe cechy dały możność rozwinięcia oddzielnej gałęzi łowiectwa w zastosowaniu tylko i wyłącznie do wilka i lisa.

Mieszkańcy gubernji pskowskiej oddawna już zasłynęli, jako mistrze w sztuce polowania na te dwa gatunki zwierza, — stąd prawdopodobnie sposób polowania nosi nazwę w Rosji „pskowskoj okład“, a mistrze owi zowią się „pskowiczami“.

Nie będę tu opisywać poszczególnych wypadków polowania z pskowiczami i talentu ich wykorzystywania naturalnych zapór dla zwierza, ograniczę się jedynie do szematu, jakim zazwyczaj posługują się ci nadzwyczajni znawcy swej trudnej specjalności.

Będę mówić tylko o lisach.

Sezon polowania, -- to zima, — to śnieg, na którym wprawne oko czyta tajemnice kniei, jak z otwartej księgi.

Dwóch, trzech myśliwych, jeden lub zwykle dwóch pskowiczów,—oto całe towarzystwo, jakie zwykle w Rosji urządza wyprawę na lisa.

Myśliwi na sankach—pskowicze pieszo, z zawieszonemi na ramieniu sznurami, na których co kilka metrów umieszczona jest chorągiewka zwykle barwy czerwonej, metrowej długości i 25 cm szerokości.

Pskowicze wchodzą do lasu i tam obserwują świeże tropy lisa, a skoro takowe odnajdą, zataczają koło, którego średnica zależna jest od danej miejscowości, od terenu: zwykle długość takiej średnicy waha się pomiędzy pół i 1 i pół kilom.

Jeśli z owego kręgu jest ślad wyjściowy, to pskowicz zatacza od tego wyjścia nowy krąg, biorąc pod uwagę oczywiście kierunek uchodzącego tropu, obyczaj zwierza, zwartość lasu, wiatr i wiele innych czynników, dla przeciętnego znawcy przeważnie nieuchwytnych.

Gdy pskowicz wróci zatoczywszy koło do tego miejsca skąd wyruszył, t. z. do tropów wejściowych i w całej swej drodze nie spotkał się z tropami, któreby ślad jego przecinały—zwierzyna musi być w tym kręgu, który ostatnio założył.

Teraz sztuka polega już tylko na szybkości działania.

Zaznaczyć muszę, że zwykle używa się do lisów 2 pskowiczy, dlatego tylko, aby zmnieszyć czas zakładania sznura, gdyby nie ta okoliczność, jeden człowiek wystarczyłby w zupełności.

A więc z tropu wejściowego, jaknajśpieszniej rozchodzą się po starych swoich śladach obaj pskowicze, zataczając po pół przebytego przedtem kręgu, a spotkanie ich nastąpi, „geometrycznie“ się wyrażając, na drugim końcu średnicy owego koła, jeśli za pierwszy przyjmiemy trop wejściowy lisa i jednocześnie punkt wyjściowy obu ludzi.

Teraz pskowicze, postępując szybko, zawieszają na krzakach i sękach owe sznury, których zwoje mają na ramieniu, — muszą to robić w ten sposób, aby chorągiewka nie dotykała do ziemi, a jednocześnie nie była za wysoko powieszona.

Gdy się pskowicze już zejdą, a krąg jest już otoczony sznurem z chorągiewkami, przystępuje się do samego polowania, które odbywa się nader prosto i pewnie.

Pewnie—to znaczy, że lis może być strzelany kilkakrotnie, chybiony bowiem, po kilku minutach znów wyjdzie na myśliwych.

Stanowiska robi się zazwyczaj w ten sposób, że w jednem miejscu (na przestrzeni dobrego strzału), poszczególnych myśliwych opuszcza się z krzaków na ziemię powieszone chorągiewki, w tem miejscu stawia się myśliwych, mniej więcej, co sto kroków.

Jeden z pskowiczy wchodzi do środka i klaszcze kilkakrotnie w dłonie,—to wystarczy, aby pobudzić lisa do sznurowania w kółko, po kręgu z chorągiewkami, do których jednak nie śmie się zbliżyć na odległość mniejszą od 30—40 kroków.

Sznurując tak po owym kręgu, lis spostrzega w jednem miejscu lukę wytworzoną przez opusz-

czony sznur i przez tę lukę próbuje ujść z „zaczarowanego koła“, co mogłoby się udać, gdyby nie czatowali na niego w tem właśnie miejscu myśliwi.

Zapomniałem dodać, że w chwili założenia lisa w sznury musi być przestrzegane maximum ciszy i ostrożności, tak jak wogóle przy polowaniu na czujnego i chytrego zwierza.

Bywają wypadki, że kilka lisów uda się okrążyć, szczególnie łatwo jest to wykonać, jeżeli śnieg leży jeszcze w czasie godowym lisów, a bywa i tak, że lis znika z koła, co naprawdę może zaszkodzić karjerze pskowicza, dla którego największym dyshonorem byłoby pędzenie „pustego kręgu“, co mogłoby mieć miejsce wówczas tylko, gdyby się omylił i przeoczył tropy wyjściowe zwierza. Są to wypadki nadzwyczaj rzadkie, a prawie się nie zdarzające.

Przy polowaniu z dobrym, wytrawnym pskowiczem, choćby nawet lis znikł z kręgu, można być pewnym, że uciekł tylko do nory, która na nieszczęście dla wszystkich obecnych, znalazła się akurat wewnątrz zatoczonego koła.

W takim wypadku pskowski sposób polowania musi ustąpić miejsca zwykłemu puszczaniu psów do jamy, ewentualnie wykopaniu chytrego rabusia.

Powyżej opisany sposób polowania może dać ogromne wyniki tylko przy b. wytrawnych specjalistach i dużym śniegu.

Rola myśliwych sprowadza się zaledwie do roli strzelców, — myśliwym naprawdę jest sam pskowicz.

Najwyższą rozkoszą dla szczerego łowcy jest zawsze i wyłącznie polowanie z psem, a nawet bez psa.

Bez pomocy psów poluje się skutecznie na lisy, wabiąc je na głos zająca lub myszy, o czem napiszę w niedalekiej przyszłości szczegółowo.

W czerwcu 1923 r. *Jerzy Dylewski.*

* * *

Doszło mej wiadomości, że w d. 17 b. m. Wołkowyskie Kółko Myśliwskie polowało z naganką w rządowych lasach przylegających do Puszczy Białowieskiej „las Zamkowy“. Czy Szanowna Redakcja nie mogłaby za pośrednictwem swego pisma zapytać: na jaką to zwierzynę polowano, coprawda bezskutecznie, w czerwcu z naganką, chyba tylko na dziki, którym etyka łowiecka też chyba powinna udzielić kilka dni spokojnych w roku. Podobno na polowaniu tem był obecny p. wojewoda Popielawski i p. starosta wołkowyski.

WILK.

(*Dalszy ciąg*).

W krótkim bardzo czasie po tem głośnem wydarzeniu w okolicy, objeżdżając łany dojrzewającego zboża, zauważyłem w kilku miejscach wydeptane ścieżki i kotliny wyleżałe w pomiętem zbożu. Koń też zaraz zaczął strzyc uszami — zawzięcie chrapać, a naglony—iść nie chciał i stawał dęba. Miałem już w garści sztucerek, gdy kilka szarych grzbietów pomknęło w żytach. Palnąłem do najbliższego, poczem koń mnie uniósł daleko, a gdym go wreszcie zahamował i wrócił na ślady, wypełzł na mnie wilczek kilkomiesięczny ze strzaskanym kulą grzbietem. Maleństwo jednak mimo rany, ująć mi się nie dało i dostrzelić go musiałem. Zima 1880 r., zaczęła się późno i dopiero około N.-Roku spadły obfite śniegi i ścisnęły tęgie mrozy, zapolowałem kilka razy z podjazdem i prosiakiem, ale bez rezultatu i na czas jakiś zniechęciłem się do podobnych wycieczek, zadawalając się zasadzkami na zające i sarenki, które mi pewne wyrządziły szkody w stertach siana, obok głównego traktu przez las prowadzącego, ustawionych. Na zakończenie sezonu myśliwskiego i w chęci zaopatrzenia śpiżarni p. O. w zwierzynę, zasiadłem jednej pięknej nocy księżycowej w dużym krzewie jałowcu nad owym szlakiem, z miasta wiodącym.

Na owe czasy, w Polsce bawiono się wszędzie ochoczo i wiele, a koroną wszelakich zabaw były owe słynne kuligi karnawałowe, sankowanie od sąsiada do sąsiada, od wsi do wsi, z parafji do parafji. W kilkanaście sań poczwórnych, z grajkami na przodzie, rzemiennym dyszlem jeżdżąc od komina do komina, najechaliśmy gościnny dwór w Stodzewie podlaskim, a wypróżniwszy w dwa dni zasobną spiżarenkę i bogatą piwniczkę pp. P., wyjadłszy wszystkie kury i indyki, trzeba było wreszcie powracać do domu i obowiązków. Po białym mazurze i wypitem strzemiennem, mając obok mą danserkę dumną i nieprzystępną p. Marję, ruszyłem ku domowi. Dziarska czwórka tarantów, zachęcona potrzaskiem bicza Dąbrosia, uniosła nas po gładkiej drodze w przestrzeń, a zatopieni w myślach o świeżo przeżytych wrażeniach, ani zauważyliśmy, jak znaleźliśmy się w głębokich borach Parysewa, na długie mile przed nami się ciągnących. W tej chwili furman zwrócił mą uwagę na kilka par błyszczących ślepiów zwierza przed nami, a równocześnie gdzieś z głębi leśnej przeciągłe wycie doszło mych uszów. Zrzuciłem z ramienia futro, wziąłem broń do ręki i kazałem furmanowi przynaglić konie do szybszego jeszcze biegu. Pomknęły sanie jak strzała po gładkim śnie-

gu — wilki zrównały się z nami i szły pobok, nie śmiejąc jednak wychylić się z zarośli na szeroką drogę. Tak prześladowani przebiegliśmy znaczną przestrzeń, konie widocznie zwalniały biegu, ale i wilki, straszone strzałami, pozostawały w przyzwoitej za nami odległości, aż zupełnie zniknęły. Dopiero teraz odczułem bliskość mej sąsiadki i ciepło jej ramion mnie oplatających, strach przełamał dumną jej oziębłość. Dawno wilki pozostały za nami, dawno wszelkie minęło niebezpieczeństwo, a ja tuliłem mą zestraszoną towarzyszkę do siebie, błogosławiąc wilkom. Ile razy zdarzy mi się spojrzeć na obraz Chełmońskiego „Wilki“, staje mi przed oczami żywo własne niebezpieczeństwo, którego wybawienie zawdzięczam mej przewodniej gwieździe, zawsze dla mnie łaskawej.

Było to na Podolu w 1886 r. w okolicy Berszady i Uścia. Zima tego pamiętnego roku była obfita w szalone śnieżyce i huragany, poczem silne zapanowały mrozy. Zgłodniały zwierz coraz częściej pokazywał się na szlakach, zastępował drogi podróżnym, podchodził do ludzkich zagród i stawał się śmielszym. Kilka wycieczek z prosiakiem na tego zwierza nie dały pomyślnego wyniku, i gdy już straciłem nadzieję zdobycia zwierza, niespodziewanie zdarzyła się ku temu sposobność. W połowie karnawału liczne grono sąsiadów zebrało się w domu pp. M. dla uczczenia imienin pani domu. W czasie ożywionej zabawy, jak bomba wpada do salonu osypany śniegiem z soplami u sumiastych wąsów, przelękły spóźniony sąsiad X., oznajmiający w urywanych zdaniach o kupie ścigających go czas długi wilków do samych wrót wioski. Zelektryzowany tą wieścią, mimo protestu płci nadobnej, a nazwaniem mego zamiaru szaleństwem, przez panów, kazałem przywołać kozaka Pryka, zaprządz do gryndżołów najlepszą trójkę koni, zawiązać w worek prosiaka i podać sanie przed ganek. Z pomiędzy grona gości znalazło się dwóch amatorów, chcących mi towarzyszyć, na co chętnie się zgodziłem, więc po wychyleniu szklanicy trojniaczka, zajęliśmy miejsce w czekających nas saniach. Pryk kierował końmi, Oleś Protasiewicz trzymał w worku prosię, ja z Kostkiem Moniuszką zajęliśmy tylnie miejsce, mając uwagę zwróconą na pęk grochowin, wlokący się za końmi na długim sznurze, z kawałem w nim wonnego mięsiwa. Skrzyżowaliśmy szlaki i drogi bliskie i dalsze, przerznęli lasem przez środek, objechali przyległe pola i leśne polany, nie spotkawszy nigdzie żadnego stworzenia żyjącego. Każę nawracać do domu — Kostek klnie na czem świat stoi, Protasiewicz resztę tchu wydobywa z biednego prosiaka—wszyscy żałujemy zepsutej zabawy, i smacznego bernardyńskiego trójniaczka. Wyjeżdżając z wysokiego lasu Kostek spostrzegł błyszczące ognisko przy świetle jasnego księżyca i wskazał mi na bliskie zarośla. Każę Olesiowi ile sił starczy nadusić prosiaka, Prykowi zwolnić biegu koniowi. Na chrypły głos świński trójka wilków, jak uprząż wprzężona wyskoczyła na szeroki gościniec i popędziła za nami. Pryk jeszcze zwolnił biegu, prosię kwiknęło krótko, ja ukróciłem sznura z grochowiną. Mamy wyczekiwanego zwierza na 100—już na 70 kroków i dajemy z Kostkiem do nich salwę. Przysiadł środkowy, dwaj jego towarzysze odskoczyli w zarośla. Każę zawracać Prykowi, lecz ten obwieś w tej samej chwili uderza kanczugiem po rączych koniach i strasznym okrzykiem hu, ha, umyka ku wsi. Dopiero teraz zauważamy po obu stronach drogi wysuwającą się i otaczającą nas zgraję wilcząt.

Oleś rzuca mi worek z prosiakiem, ja odcinam sznur z grochowiny, na co rzuca się zgłodniała zgraja i w mig ją rozrywa. Oleś wystrzela magazyn swego rewolweru, my z Kostkiem nie próżnujemy i bijemy w najgęstsze kupy, lecz rezultatów naszej strzelaniny obserwować nie mamy czasu, zajęci obroną koni, na które szczególniej jakiś niewielki wilczek tak zapamiętale się rzucał, iż skaleczył orczykowego, a z obawy postrzelenia koni, strzelać do rabusia nie mogłem.

Tak w szalonym pędzie uciekając, przebiegamy kilka wiorst, nie odstąpieni na krok przez prześladujące nas zwierzęta, gdy radosnym okrzykiem Pryk oznajmia nam o bliskości wsi i zabudowań folwarcznych. Wpadliśmy na szczęście w stojące otworem podwoje bram, pozostawiając po za niemi zgraję naszych prześladowców. Byliśmy ocaleni, lecz doznany strach i wrażenie długo nie zatarło się w naszej pamięci i odebrało nam chęć do podobnych wypraw. Na drugi dzień odszukałem ofiarę naszego postrzału pierwszego, leżał martwy w przydrożnym rowie z dużą dziurą w piersi, a kilka innych krwawych śladów świadczyło o celności naszych strzałów, zdobycz naszą jednak rozszarpała głodna zgraja i pożarła ze skórą. Jeden z mych licznych znajomych myśliwych—oficer armji rosyjskiej, powracając z urlopu do Permy, był zaatakowany przez zgraję wilków, która w swem prześladowaniu tak się zapędziła, iż wpadła w ogrodzenie pocztowych zabudowań, gdzie była zamkniętą i z okien poczty potem wystrzelaną. Gdy głębokie śniegi zasypią tajgi syberyjskie i góry Uralu, głodem i zimnem trapione zwierzęta porzucają rodzinne bory, spuszczają się w niziny, szukając na ruchliwych, szerokich szlakach łatwiejszej zdobyczy i pożądanego żeru. Wtedy stają się plagą danej okolicy, a choć w ludziach rzadkie bywają straty niszczą one za to nieraz cały dobytek koczowników stepowych—stada reniferów, całe bogactwa kirgizów i eskimosów.

Wł. Czerniejewski.

(d. c. n.)

Polowanie z puhaczem.

V.

Opowiem dziś osobliwą przygodę z krukiem, której puhacz mój omal życiem nie przypłacił, a która mnie dała sposobność ujrzenia żywego „białego kruka". Było to w porze jesiennych przelotów, gdy ze zdwojonym zwykle zapałem korzystałam z polówek, wiedząc, że niejeden rzadki okaz trafić mi się może.

Pozatem zaciekawiała mnie też obserwacja psychiki nowego puhacza, z którym od niedawna dopiero polowałam.

Poprzedni mój towarzysz łowów, ongi z Monachjum przywieziony, świadek pogromu tylu szkodników, w czasie naszej nieobecności — rozstał się z tym światem. Złamawszy sobie dziób na twardym czerepie polskiego jastrzębia, zginął głodową śmiercią.

Następca jego, mieszkaniec litewskich borów, z początku buntował się srodze przeciw nałożonym mu niewolniczym pętom, widząc jednak bezskuteczność oporu, pozornie pogodził się z losem. Z podwójną za to zaciekłością tropił swych wrogów skrzydlatych. Zająwszy opróżnione na paliku stanowisko, bystrym wzrokiem badał okolicę i z najdalszych stron przywabiał drapieżników, zawadyjacką swą postawą wyzywając ich do walki.—Dzień, który opisuję, chmurny był i mglisty, nie zapowiadający licznych trofeów zwłaszcza jastrzębi. Monotonję wyczekiwania urozmaicał mi widok puhacza, który w niesłychanie komiczny sposób markował zbliżanie się wszelkiego rodzaju krukowatych.

Urodzony ten transformista, w owej chwili, tak błyskawicznie postać swą odmieniał, że z olbrzymiego, wspaniałego ptaka robił się chudziutki, pokraczny potworek o sterczących śpiczastych uszkach i nieporównanym kostycznym wyrazie fizjognomji. Pilnie obserwując wymowną mimikę puhacza, nauczyłam się rozumieć każdy niemal ruch jego i żaden nowy szczegół nie uszedł mej uwagi.

W dzisiejszem zachowaniu coś mnie wciąż dezorjentowało. Z zasadniczych ruchów sądząc, wiedziałam napewno, że nadejścia wron lub kruków się spodziewa; ale czemże wytłómaczyć ów strach paniczny, którego nigdy w podobnej sytuacji nie objawiał? Zeskoczywszy raptownie z palika, wzrok swój nieustannie zwracał ku południowej stronie, zaznaczając przytem wyraźnie, że dołem wróg się zbliża.

Gotowa do strzału czekałam, nie przypuszczając ani na chwilę, aby niepostrzeżenie, tuż przy mej budce przemknąć się zdołał. Zanim zdążyłam się zorjentować już monstrualnej wielkości kruk, o parę kroków od puhacza, w szybkich podskokach, począł zataczać wkoło niego kręgi, stopniowo je zmniejszając, tak, że puhacz, jak zahypnotyzowany, chwiał się i słaniał, słabo się tylko broniąc. Z przerażeniem śledziłam przebieg ciekawej tej walki. Strzelać nie mogłam, bo puhacz był zbyt blizko, wybiegłam więc z budki, by odstraszyć kruka i uzyskać nareszcie możność strzału. Ptak jednak w swem zacietrzewieniu na nic nie zwracał uwagi i nagle silnem uderzeniem dzioba zaatakował już wprost swą ofiarę, poczem, odfrunąwszy o kilkanaście kroków, szykował się do nowej zaczepki.

Skorzystałam z tego momentu i celnym strzałem uwolniłam mego puhacza od niebezpiecznego napastnika.

Zaledwie potworne ptaszysko ostatni dech wydało, a już ze wszystkich stron zaczęły walić nieprzeliczone chmary wron i kruków, żałosnem, przeciągłem krakaniem zwiastując towarzyszom ponurą nowinę. Z każdą chwilą wzmagała się piekielna wrzawa, przechodząca stopniowo w jeden krzyk rozpaczy. Zaszumiało w powietrzu łopotem tysięcy skrzydeł. Zaroiło się od czarnego ptactwa, które zbitą chmurą, jak kirem, niebo przesłoniło.

Godzina była 4-a popołudniu, a przez chwilę zupełny mrok zapanował. Czegoś podobnego w życiu nie widziałam. Ludzie w przerażeniu uciekali z pola; kobiety, narzuciwszy fartuchy na głowę, motykami opędzały się od natarczywych wron. A co w owym czasie działo się nad puhaczem — domyśleć się łatwo. Nie mogłam wprost nadążyć z nabijaniem broni. Istne pobojowisko wkoło się utworzyło. W pewnej chwili zwróciło baczną mą uwagę nowe ciekawe zjawisko. Oto wśród gromady kruków, unoszących się nad puhaczem, ujrzałam jedną sztukę całkowicie białą.

Pochłonięta tym widokiem, jedną tylko myśl już miałam: zdobyć to cenne trofeum. Niestety daremną była pokusa. Cel mych pożądań zbyt wysoko krążył, a choć dwukrotnie nad puhacza wracał, ani razu na strzał go nie miałam. Żałosnem tylko spojrzeniem żegnałam odlatującego ptaka, na los się jednak nie skarżąc, bo w dniu tym, pełnym ciekawych wrażeń, udało mi się zdobyć do zbiorów wspaniały, niezmiernie rzadki okaz prastarego kruka.

Powyżej opisane zdarzenie najwidoczniej wskazuje, że ptak przezemnie zabity był niezwykle czczonym jakimś dostojnikiem całej kruczej rzeszy, skoro śmierć jego tak żywiołowy protest wywołała. Na zakończenie nadmienić jeszcze muszę, że w ciągu długoletnich mych polowań, jedyny to był wypadek, w którym skrzydlaty przeciwnik nie w powietrzu, a na ziemi z puhaczem walkę stoczył.

Marja Ejsmondowa.

*) Część I i II Przegląd Myśliwski, Nr. 4.
Część III i IV „ „ Nr. 8.

IV POZNAŃSKA WYSTAWA MYŚLIWSKA.

W sobotę 23 czerwca o godzinie 11-tej wojewoda poznański p. hr. Bniński w obecności reprezentantów władz państwowych i miejskich i licznych zaproszonych gości otworzył pierwszą w wolnej Polsce wystawę rolniczo-przemysłową. Z chwilą przecięcia wstęgi, odezwały się syreny parowe, orkiestra zagrała hymn narodowy a tysiąc pocztowych gołębi wojskowych uwolnionych z klatek roznioło radosną wieść o dokonaniu wielkiego pokojowego dzieła.

W godzinę potem w wielkim pawilonie odbyła się druga uroczystość otworzenia IV wystawy łowieckiej, która już specjalnie nas zajmować będzie.

Młody bo zaledwie rok życia posiadający Oddział Poznański „Polskiego Związku Myśliwych", zdobył się na czyn, do którego urzeczywistnienia potrzebna było w danych warunkach nie tylko chęć dobra, ale i energja.

W przemówieniu swoim przy otwarciu wystawy dał też prezes oddziału p. pułkownik Chłapowski wyraz temu i określił trudności jakie napotkał i jakie przełamać należało a jeżeli wystawa nie okazuje tego co Wielkopolska w trofeach posiada i okazać by mogła przy tak dawnej kulturze łowieckiej, wina to okoliczności, nie sprzyjających stosunkom powojennym. Wszakżesz złemu należało dać hamulec i zrobić początek dla okazania czem łowiectwo dla nas być powinno i przypomnieć chociaż tą skromną wystawą, iż jest ono nie tylko jedną z gałęzi ekonomicznych, ale jednocześnie i kulturalnych naszego kraju.

W podobnych słowach wyraził się i jenerał dowódca dywizji K. Raszewski. Rozcinając zieloną wstęgę, w gorących słowach zachęcał do pielęgnowania dalszego przez ojców naszych pozostawionych nam tradycyj łowieckich, przez pielęgnowanie prawidłowego łowiectwa, przez przystępowanie do Polskiego Związku Myśliwych. Podniósł też przytem zasługi Wielkiego Łowczego p. Wł. Janty Połczyńskiego i wojewody D-ra Celichowskiego, którzy, zakładając Polski Związek Myśliwych, do urządzenia dzisiejszej wystawy się przyczynili. I przyznać trzeba, iż Oddział Poznański zdziałał oczywiście co w danych okolicznościach zdziałać było można. Zarząd wystawy oddał na eksponaty 5 niewielkich pokoi bezpośrednio z szopą inwentarza połączonych. Odgrodzeniem, umajeniem i przystrojeniem w girlandy i emblematy myśliwskie skonstruowano przybytek, który przez gustowne rozwieszenie i ugrupowanie tak pojedyńczych trofei jak i całych kolekcji zadawalnia i estetyczne wymagania.

Ale IV wystawa poznańska umiesz zona w 5 pokojach nie może okazać, zwłaszcza jeżeli weźmiemy pod uwagę okres dziesięcioletni co Polska w trofeach rzeczywiście posiada. Zbiory p. p. Ostroróg Gorzeńskiego, Łąckiego i Kurnatowskich zapełnić by mogły po pięć pokoi wystawy. A wieleż kolekcyj pomniejszych, nawet z samego Poznania świeci na wystawie nieobecnością. Nieprzesadzam, jeśli powiem, że gdyby wszystkie zbiory z b. zaboru pruskiego zgromadzić można na wystawie, zapełniłyby one cały ten gmach, w którym obecnie kilkaset sztuk żywego inwentarza pomieszczono.

Brak pomieszczenia i niedostateczne bezpieczeństwo przy transporcie i w miejscu samym przez wielkopolskich myśliwych wysoko cenionych trofei, zredukowały wystawę do tak skromnych rozmiarów.

Ogólna ilość eksponatów jest następująca:

Wieńcy jeleni 27, rosochów danieli 9, parostków kozłów 249. Głów dzików 5, szabli dzików 8 par, żubr (głowa) — wilk (głowa) żbik (futro)— drop — głuszce 3, cietrzew — i 24 rozmaitych pomniejszych ptaków krajowych. Nadto znaczna ilość wachlarzy i lir głuszcy i cietrzewi.

Oto znaczniejsze premjowane i wymienienia godne trofea.

P. hr. Marceli Żółtowski otrzymał medal srebrny za czternastaka i bronzowy za kolekcję wieńcy jeleni, zabitych przez synów i gości w Godurowie.

P. Jarochowski z Poznania 4 pary wieńcy w tem dwa zdaje się karpackie i starszych roczników nie starannie odciętych.

Jedną salkę zajęły trofea ordynata p. hr. I. Skórzewskiego z Czerniejewa z kolekcją 9 wieńcy, w tem rzadko piękny dwunastak (medal srebrny) z kolekcją 24 parostków (medal srebrny) w srebro oprawnych 8 par szabli, żbik, wilk i liczne pomniejsze okazy wszystko starannie preparowane.

Znane łowisko Iwko p. hr. Mielżyńskiego zajęło całą ścianę pokoju trzeciego, ono dostarczyło też najpiękniejszą kolekcję rosochów (med. sreb.), 2 kolekcje parostków; dwa niezwykie silne, pięknie uperlone, osiągnęły również 2 srebrne medale.

Pani wojewodzina hr. Bnińska wystawiła 5 parostków po za konkursem.

P. Koczorowski z Pamiątkowa—rzadki okaz nieregularnego, z dwudziestu sześciu kończynami jelenia. Jest on o tyle wielką osobliwością, iż okazuje jak uszkodzenie w czasie mchu jednej odnogi działa na wykształcenie się drugiej.

P. Zbigniew hr. Ostroróg Gorzeński z Tarc, jeden z najlepszych hodowców wielkopolskich, dwie pary parostków, godnych prawdziwie tego niezrównanego myśliwego. Niepremjowanie obydwuch tych wystawców wskazuje, jak przypuścić tylko można, iż wystawili zdobycze swoje po za konkursem.

P. Brodowski z Psar za kolekcję 24 parostków medal srebrny.

P. Wichrowski z Poznania wystawił głowę dzika również premiowaną.

Z nadleśniczych państwowych stanęło dwuch do konkursu pp. T. Metzig znany hodowca i pisarz myśliwski i S. Woszczyński z Podanina, obydwaj osiągnęli za wieńce i parostki po dwa srebrne medale. Ostatni za parostki znanego czytelnikom „Łowiectwa Polskiego“ Sara piastowskiego.

Trzy kolekcje parostków pp. Br. Sobeskiego, Gozimierskiego i Kalksteina nagrodzone zostały bronzowemi medalami.

P. Lossów z Gryżyny dwa medale bronzowe za 12 parostków i dwa wieńce.

P. hr. K. Bniński z Dobczyna za kolekcję parostków medal bronzowy a za dzika medal srebrny.

P. Pętkowski z Kuśnierza za 20 par parostków medal srebrny. Jedyny na wystawie reprezentowany Niemiec p. ordynat Witzleben z Liszkowa za kolekcję z 9 bajecznych kapitalnych parostków, słusznie zupełnie nagrodzony został srebrnym medalem.

Jenerał korpusu p. K. Raszewski wystawił 6 parostków, z których trzy osiągnęły dwa bronzowe a jeden srebrny medal.

P. pułkownik K. Chłapowski z Mościejewa przysłał 5 wieńcy w tem czternastaka (med. srebr.) i 4 parostki (med. bronz.). W zdobyczach p. pułkownika znajdują się trofea z Białowieskiej puszczy zdobyte w czasie od 1 września do 5 grudnia 1915 r. 2 rosochy, 1 dzik i głowa żubra (!) odznaczona medalem srebrnym.

P. Zbigniew Cichowicz z Jabłkowa 4 rosochy danieli (med. srebr.) i kolekcję parostków.

W piątym i ostatnim pokoju kończy szereg wystawców znany czytelnikom ornitolog p. Fr. Unrug, który w „Roku hodowcy myśliwego“ opisuje wszystkie ptaki, które w dermoplastycznych okazach na wystawie umieścił.

Więcej takich miłośników przyrody, a wyglądałoby lepiej w naszych łowiskach.

W końcu jeszcze kilka słów pod adresem naszych pism politycznych, które uważały za odpowiednie dać recenzję z wystawy łowieckiej.

Gdy się czyta o tych „szuflach łosi“, których wogóle na wystawie nie było, o „stadach“ jeleni, „kłach“ dzików, i „rogach“ rogaczy, mimowoli przypomina się p. Zagłoba ze swoim—Boże ty widzisz i nie grzmisz!

Czyżby pismom naszym rzeczywiście tak trudno było znaleść recenzenta, któryby przynajmniej z elementarnemi zasadami terminologji łowieckiej się zapoznał?...

Odpowiedniej wywiązała się z zadania swego p. R. znana korespondentka „Dziennika poznańskiego“, która opuszczając wszelkie „kły i rogi“ z prawdziwie kobiecym poczuciem piękna pisze o IV wystawie poznańskiej.

„W nowej hali miejskiej urządzono równocześnie wystawę łowiecką. To jest sport piękny — myślistwo: zbliża z przyrodą, uczy obserwować życie zwierząt — zmusza do podziwiania w naturze dzieł Boskich, niejako bezpośrednio z ręki Stwórcy wyszłych. Wszakże każdy zabity rogacz — to jeden cudny poranek ze wschodem słońca, rosą perlistą i budzącym się do życia światem leśnym; wszakże każda słonka upolowana — to także czar srebrnego zmierzchu; z czerwieniącym się na skłonach nieba zachodem, z ciszą, przerywaną tu i owdzie krzykiem ptactwa lub trzaskiem suchego łomu — kiedy to las usypia...“

Niech każdy pisze jak umie, ale tylko to, co rozumie.

Radegast.

Pies myśliwski.

Gończe francuskie.

Psy te powstały z krzyżówek czterech gatunków psów: 1) gryfonów żółtych ostrowłosych, które przed naszą erą miały być znane na półwyspie Apenińskim i w Gallji, dokąd prawdopodobnie w prawiekach przywędrowały z ludami aryjskiemi z Azji środkowej; 2) gryfonów siwych (dit chien de St. Louis), według licznych autorów, sprowadzonych ze starożytnej Tatarji przez Ludwika św., czemu przeczy H. Denin de Courval, dowodząc, że są to górskie psy pochodzenia frankońskiego; 3) gończych afrykańskich (czarnych podpalanych), i wreszcie 4) białych królewskich. Co do tych ostatnich, to prawdopodobnie są one zalbinizowaną odmianą czarnych podpalanych. Zyskały one sławę za czasów Ludwika XI i niewątpliwie odegrały rolę w powstaniu psów gończych francuskich, angielskich, jak również wyżłów franc. („braques“). W licznych między sobą krzyżówkach psy gończe francuskie rozprzestrzeniły się szeroko, przyczem starano się hodować w każdej prowincji psy chociaż drobnostką od innych się różniące. Stąd nazwy psów gończych francuskich pochodzą od części kraju, w jakiej chów się odbywał. Więc ze starych ras dziś tylko

we względnej czystości krwi prowadzonych wyróżniają się przedewszystkiem rasy hodowane w prowincjach nadmorskich. W zachodniej Francji od strony Oceanu Atlantyckiego sławne są Chiens courants Vendeens, z przewagą krwi białych królewskich, które za czasów Franciszka I od wyrodzenia się ratowano krwią żółtych gryfonów. Psy te nie są zbyt lotne i żywe. Są one dość ciężkie i silne, jak przystało na dobrych wilczarzy. Odznaczają się maścią białą w nieliczne płowo-pomarańczowe łaty. Maść tę nieco wzmocnioną odziedziczyły po białych królewskich. W prowincji Poitou istnieje też swoista rasa wilczarzy. Są to t. zw. chiens de Poitou — psy silne, raczej o dobrej muskulaturze, niż nalane, odznaczające się płaską, szeroką kością, Maści są trójbarwnej.

Psy gończe Saintonge wyróżniają się głowami dosyć długiemi i względną lekkością. Maść ich jest biała w czarne łaty, uszy, podniebienie i jądra są zawsze czarne. Nad oczami posiadają jasne żółte centki i są lekko centkowane pod sierścią czarnym kolorem. Od wyżej wymienionych odcinają się wyraziście psy gaskońskie (chiens de Gascogne) pierwszorzędne wilczarze, które, jak przez ironję losu, posiadają według H. Bylandta chód i ślad wilczy. Psy te są dosyć duże i ciężkie. Posiadają charakterystyczną maść, wyróżniającą je na pierwszy rzut oka od innych gończych francuskich. Jest ona siwawą lub białą z wieloma plamami czarnemi, znakami barwy lie de vin, często podpalane koło oczu i na nogach. Całkowicie są centkowane czarnym pod sierścią.

Do psów spokrewnionych blizko z francuskiemi gończemi zaliczyć należy psy normandzkie (chiens de Normandie), ciężkie i mocne, służące ongiś do stanowienia dzików.

Z zajęczarzy wymienić musimy psy artezyjskie (chiens d'Artois) lekkie i proporcjonalnie zbudowane, o maści białej w żółte lub płowe łaty; wreszcie psy z Franche-Comté, inaczej zwane psami porcelanowemi, ze względu na piękny odcień ich białości, nielicznie przybranej ciemno-żółtemi plamami. Wymienione rasy chowały się po różnych magnackich dworach do rewolucji francuskiej, która zadała im cios stanowczy. Od tej pory nastąpiło zmieszanie w mniejszym lub większym stopniu resztek ocalałych ras i dzisiejsze psy gończe francuskie istnieją w bardzo wielu odmianach. Sprzyjał temu jeszcze fakt sprowadzenia do Francji foxhoundów, które łączone z rasami francuskiemi, dały szeregi całe t. zw. batardów. Istnieją więc np. batardy: Anglo-vendeens, Anglo-poitevins, Vendeen-normands, Anglo-poitevin-santengeois i wiele, wiele innych. Pomaga temu różniczkowaniu ras pewien, że tak powiem, przywilej, iż każdy „maitre d'equipage" ma prawo zmieniać swą złaję według swego widzimisię, byle tylko, zmieniając typ, zmieniał również i nazwę. — Wszystkie podane wyżej rasy gończych francuskich i większa część batardów należą to t. zw. dużego orszaku (Grand équipage); briquety, które są skarłowaciałemi potomkami gończych (odp. ang. beaglom) tworzą. (Moyen equipage); zaś bassety b. we Francji rozpowszechnione stanowią orszak mały czyli (Petit équipage). Wszystkie psy francuskie odznaczają się b. długiemi i nizko osadzonemi uszami, zwiniętemi w trąbkę. Są to też psy posiadające najpiękniejsze i najprzeróżniejsze głosy, w których francuzi niezmiernie się lubują. Bardzo ważną cechą ich jest maść i kształtna budowa — cechy, na które francuzi zwracają pilną uwagę. Prócz tego psy te idą dobrym dolnym wiatrem i ściśle pilnują się tropu. Za to posiadają za mało szybkości, są powolne i nie zbyt wytrzymałe. To też psy te do starodawnego polowania znakomite — obecnie ustępują miejsca niezdartym gończym angielskim. Dziś od gończych zasadniczo wymaga się czego innego, niż dawniej; bowiem jeśli ongiś chodziło o dobry węch i maximalną siłę, obecnie zależy najbardziej na wytrzymałości, węchu i szybkości.

(C. d. n.) *Jan Grabowski.*

Do niniejszego N-ru dołącza się dla wszystkich zamiejscowych P. T. prenumeratorów czek P. K. O.

† WIKTOR STEPHAN

(zmarł w Chojnowie d. 19 lipca 1923 r.)

Nieubłagana śmierć zabrała nam człowieka w pełni czynu i pracy.

Ś p. Wiktor Stephan na stanowisku zarządzającego lasami hr. X. Branickiego umiał zaskarbić sobie szacunek i miłość całego otoczenia.

Imię zmarłego zrosło się nierozerwalnie z Chojnowem.

Nietylko był on fachowo wysoko wykształconym leśnikiem, ale i prawdziwie zamiłowanym w łowiectwie i hodowli zwierzyny.

Jego prace literackie z dziedziny łowiectwa były wielokrotnie nagradzane na konkursach.

Odznaczały się niepospolitą znajomością i umiłowaniem przedmiotu.

Dzieła, które mu największy rozgłos dały, były: „Kuropatwa", „Sarna" i „Zając pospolity".

Prace te są dobrze znane każdemu, kto się łowiectwem interesował.

Dziś, nad świeżą mogiłą przedwcześnie zgasłego zacnego człowieka i serdecznego przyjaciela, składamy wyrazy najgłębszego żalu.

Fr. Ejsmond.

Na ogólne życzenie nowo przybyłych prenumeratorów Redakcja nasza postanowiła zaradzić wyczerpaniu pierwszych numerów pisma (№ 1 — 7) przez wydanie zbiorowego numeru zawierającego początki artykułów drukowanych w późniejszych numerach.

Ponieważ koszty tego są bardzo znaczne, rozpoczniemy druk zbiorowego numeru dopiero po otrzymaniu pewnej ilości zgłoszeń.

Prosimy zgłoszenia owe kierować do administracji pisma, Warszawa, Szpitalna 12.

Redakcja
„Przeglądu Myśliwskiego i Łowiectwa Polskiego".

Numer pojed.—**4000** mk. Prenumerata mies. (z odsył. do domu) — **9000** mk.; kwart. — **27.500** mk. Konto czek. № 7595.

Cena ogłoszeń: strona — **600.000** mk.; 1/2 str. — **300.000** mk.; 1/4 str. — **150.000** mk.; 1/8 str. — **75.000** mk.

Redakcja i Administracja, Szpitalna Nr. 12. Druk. Sp. Wyd. Pow., Szpitalna Nr. 1.